Pożycz mi zwykły wtorek

Miłość też potrzebuje czasu bez okazji



Laura Bellini

Pożycz mi zwykły wtorek

Miłość też potrzebuje czasu bez okazji

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384905753

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie 11
Rozdział 2 - Mapa rzeczy możliwych 22
Rozdział 3 - Nie wszystko mieści się na mapie 35
Rozdział 4 - Po godzinach 45
Rozdział 5 - Prawo do własnego czasu 57
Rozdział 6 - Chwila, której nie zaplanowaliśmy 67
Rozdział 7 - Dzień po wszystkim 79
Rozdział 8 - Poza jego warsztatem 88
Rozdział 9 - Kiedy plan spotyka rzeczywistość 100
Rozdział 10 - Bez żadnej okazji 113
Rozdział 11 - To, co zostaje po nocy 125
Rozdział 12 - Wieczór, który miał być nasz 142
Rozdział 13 - Cena dobrych możliwości 158
Rozdział 14 - Prawda między nami 167
Rozdział 15 - Wszystko, co zostawiam na później 179
Rozdział 16 - Miejsce na ciszę 189
Rozdział 17 - Życie poza harmonogramem 200
Rozdział 18 - Pierwszy krok bez obietnicy 211
Rozdział 19 - Nie trzeba już czekać 225
Rozdział 20 - Zwyczajny wtorek 234

INTRO

We wtorki nie powinno się nic wydarzać.

Przynajmniej taką zasadę próbowałam wprowadzić do swojego życia od czasu, kiedy zrozumiałam, że jeśli nie zostawię sobie choć jednego dnia bez cudzych oczekiwań, wkrótce zacznę traktować własne mieszkanie jak poczekalnię między kolejnymi obowiązkami.

Wtorek był mój. Bez wernisaży, spotkań z artystami, telefonów od kuratorów i uprzejmych rozmów z ludźmi, którzy zawsze potrzebowali czegoś na wczoraj. Bez kieliszka prosecco wypijanego na stojąco i uśmiechu, który należało utrzymywać nawet wtedy, gdy stopy bolały od chodzenia w szpilkach. Żadnych wydarzeń, które wymagały odpowiedniego światła, właściwego ustawienia krzeseł i obecności osoby potrafiącej przewidzieć, że ktoś zapomni dostarczyć przedłużacz.

Miałam trzydzieści cztery lata i coraz bardziej ceniłam rzeczy, których nie trzeba było organizować.

Tego wtorku chciałam odebrać wydruki z pracowni fotograficznej, kupić świeże pieczywo, wrócić do domu przed osiemnastą i usiąść przy stole z laptopem. Czekała na mnie propozycja wystawy, nad którą pracowałam od kilku tygodni. Ważna, ambitna i na tyle obiecująca, że nie zamierzałam pozwolić, by cokolwiek odciągnęło mnie od jej dopracowania. Potrzebowałam ciszy, skupienia i kilku godzin, podczas których nikt nie zapyta, czy mogę jeszcze coś załatwić.

Warszawa miała jednak własne zdanie na temat moich planów.

Na ulicy, którą znałam od lat, robotnicy rozkopali chodnik dokładnie tam, gdzie zwykle skracałam sobie drogę do pracowni. Musiałam obejść cały kwartał, lawirując między samochodami zaparkowanymi na wąskim poboczu. Powietrze pachniało mokrym betonem, kawą z małej kawiarni na rogu i czymś drożdżowym, co wydobywało się z piekarni. Z okien parterowych mieszkań dochodziły odgłosy telewizorów, a starsza kobieta w granatowym płaszczu usiłowała przekonać swojego psa, że kałuża nie jest odpowiednim miejscem na popołudniowy odpoczynek.

Zwyczajna dzielnica. Zwyczajny dzień. Dokładnie tego potrzebowałam.

Teczka z wydrukami była cięższa, niż przewidywałam. Przełożyłam ją do drugiej ręki i zatrzymałam się przed niewielkim warsztatem rowerowym, żeby poprawić pasek torby zsuwający się z ramienia. Przez otwarte drzwi widziałam mężczyznę pochylonego nad rowerem. Miał podwinięte rękawy ciemnej koszuli, a na przedramieniu ślad smaru, którego najwyraźniej jeszcze nie zdążył zetrzeć. Pracował spokojnie, z uwagą kogoś, kto nie potrzebuje patrzeć na zegarek co trzy minuty, żeby wiedzieć, co robić.

Wtedy z teczki wysunęła się jedna z plansz.

Wiatr poderwał arkusz, zanim zdążyłam go złapać. Papier prześlizgnął się po chodniku i zatrzymał przy przednim kole roweru stojącego tuż przy wejściu do warsztatu.

— Ucieka pani dokumentacja — odezwał się mężczyzna.

Podniósł arkusz, zanim zdążyłam się schylić. Nie zgniótł go, nie złapał za środek. Chwycił za dwa rogi, jakby od początku wiedział, że papier może być dla kogoś ważniejszy, niż wygląda.

— Dziękuję. To akurat nie jest dokumentacja, tylko kilka godzin mojego życia w formacie A2.

Spojrzał na planszę, potem na mnie.

— W takim razie dobrze, że nie wjechała pod koło.

— Byłaby to dość kosztowna naprawa.

— Dla papieru czy dla pani?

Uśmiechnęłam się, zanim zdążyłam zdecydować, czy jego pytanie zasługuje na odpowiedź.

Miał spokojny głos i sposób patrzenia, który nie przypominał mi rozmów z ludźmi spotykanymi podczas zawodowych wydarzeń. Nie próbował natychmiast zrobić dobrego wrażenia. Nie szukał okazji, żeby opowiedzieć coś o sobie. Po prostu czekał, aż odbiorę swoją własność.

Miał może nieco mniej niż czterdzieści lat, ciemne włosy i twarz człowieka, który nie musiał codziennie sprawdzać, czy wygląda wystarczająco reprezentacyjnie. Nie był zaniedbany. Raczej nieprzesadnie zainteresowany udowadnianiem czegokolwiek.

— Ma pani jeszcze kilka takich? — zapytał, wskazując na wystające z teczki arkusze.

— Mam nadzieję, że nie wszystkie będą próbowały uciec.

— Z doświadczenia wiem, że rzeczy potrafią robić to, czego się po nich nie spodziewamy.

— Mówi pan o papierze czy rowerach?

— Dzisiaj o papierze. Rowerom zwykle wystarczy odpowiednia regulacja.

Odebrałam planszę i wsunęłam ją z powrotem do teczki.

— To brzmi, jakby wszystko dało się naprawić.

— Nie wszystko. Ale niektórym rzeczom warto dać chwilę.

Nie wiedziałam, dlaczego zapamiętałam właśnie to zdanie. Może dlatego, że wypowiedział je bez szczególnego nacisku, nie oczekując, że uznam je za mądre. A może dlatego, że sama od dłuższego czasu nie dawałam niczemu chwili. Wszystko miało termin, cel i miejsce w kalendarzu.

Zerknęłam na zegarek. Musiałam ruszać.

— Jeszcze raz dziękuję.

— Nie ma za co.

Odeszłam kilka kroków, kiedy usłyszałam za plecami:

— Proszę uważać na wiatr. Dzisiaj ma własny plan.

Odwróciłam się.

— Ja też mam. I zamierzam się go trzymać.

Tym razem uśmiechnął się wyraźniej.

— Powodzenia.

Nie zapytałam o imię. Nie zapytał o moje. To była krótka, zwyczajna wymiana zdań, jedna z tych, które powinny rozpłynąć się w pamięci jeszcze przed końcem ulicy.

A jednak, kiedy dotarłam do pracowni, przez chwilę myślałam o jego dłoniach ostrożnie podnoszących arkusz. O tym, że nie próbował mi pomóc na siłę, choć mógł. O sposobie, w jaki potrafił żartować, nie zamieniając rozmowy w popis.

Potem dostałam telefon.

Dzwoniła pani Helena z lokalnego domu sąsiedzkiego. Znałyśmy się od kilku lat, ponieważ organizowałam tam kiedyś niewielką wystawę fotografii mieszkańców. Pamiętała mnie jako osobę, która potrafiła znaleźć miejsce na

ekspozycję nawet wtedy, gdy jedyną wolną ścianą była ta za drzwiami magazynku.

— Łucjo, przepraszam, że zawracam ci głowę — zaczęła. — Wiem, że masz dużo pracy, ale chciałabym cię o coś poprosić.

Już sam początek tej rozmowy nie wróżył dobrze mojemu wtorkowi.

— Słucham.

— Chcemy zrobić coś dla ludzi z okolicy. Niewielki festiwal. Muzyka, trochę lokalnych wystawców, może warsztaty dla dzieci, coś do jedzenia. Nie mamy dużego budżetu, ale mamy miejsce i kilka osób gotowych pomóc. Brakuje nam kogoś, kto potrafiłby to wszystko połączyć.

Spojrzałam na otwarty laptop. Na ekranie czekał niedokończony projekt wystawy, a obok niego lista rzeczy, które musiałam jeszcze poprawić.

— Heleno, naprawdę nie mogę teraz wziąć na siebie kolejnego wydarzenia.

— Wiem. Dlatego nie proszę cię, żebyś wszystko zrobiła sama.

— To zwykle tak się zaczyna.

Po drugiej stronie zapadła krótka cisza, a potem usłyszałam cichy śmiech.

— Masz rację. Ale tym razem mamy jeszcze jedną osobę. Prowadzi warsztat rowerowy niedaleko nas. Zgodził się pomóc przy organizacji i przyciągnąć lokalnych wystawców. Jest uparty, ale podobno zna pół dzielnicy.

Przypomniałam sobie mężczyznę stojącego w drzwiach warsztatu. Ciemną koszulę, smar na przedramieniu i zdanie o rzeczach, którym warto dać chwilę.

— Jak się nazywa? — zapytałam, zanim zdążyłam pomyśleć, po co mi ta informacja.

— Klemens Lis.

Oparłam się o krzesło.

A więc miał imię.

— Łucjo, nie musisz podejmować decyzji przez telefon. Przyjdź jutro na krótkie spotkanie. Poznasz pomysł, zobaczysz, czy jest sens. Jeśli uznasz, że to nie dla ciebie, nie będziemy cię namawiać.

Powinnam była odmówić. Miałam wystarczająco dużo pracy, własne ambicje i starannie wyznaczone granice. Nie chciałam kolejnego przedsięwzięcia, w którym ludzie mylili moje kompetencje z nieograniczoną dostępnością. Z drugiej strony pani Helena nie prosiła mnie o poświęcenie całego życia. Prosiła o jedną rozmowę.

— Dobrze. Przyjdę na spotkanie. Ale niczego nie obiecuję.

— Oczywiście. Dziękuję ci.

Kiedy się rozłączyłam, przez chwilę siedziałam bez ruchu. Za oknem ktoś zamykał metalową bramę, na ulicy przejechał rowerzysta, a z piekarni naprzeciwko wyszedł mężczyzna z papierową torbą pod pachą. Świat nie zmienił się ani trochę. Tylko mój spokojny wtorek zaczął się niebezpiecznie rozrastać o cudze plany.

Wróciłam do projektu, ale myśli nie chciały już układać się w równe kolumny. W kalendarzu zapisałam spotkanie na środę, po czym dopisałam godzinę zakończenia. Nie zamierzałam pozwolić, żeby niewielki festiwal zamienił się w kolejną pracę na pełen etat.

Wieczorem, kiedy wreszcie wróciłam do mieszkania, postawiłam teczkę przy biurku i zdjęłam płaszcz. W telefonie

czekało przypomnienie o jutrzejszym spotkaniu. Przesunęłam palcem po ekranie, jakbym mogła w ten sposób przesunąć również wszystko, co mogłoby się z nim wiązać.

Przypomniałam sobie jeszcze raz warsztat, otwarte drzwi i mężczyznę, który nie próbował zatrzymać mnie dłużej, niż chciałam zostać.

Nie wiedziałam, czy Klemens Lis okaże się człowiekiem, z którym da się współpracować. Nie wiedziałam nawet, czy jego spokój jest cechą charakteru, czy tylko sposobem, w jaki wyglądał podczas naprawiania roweru.

Wiedziałam natomiast, że od dawna umiałam znaleźć czas na wszystko, co miało znaczenie zawodowe. Na cudze marzenia, cudze terminy i cudze uroczystości. Znacznie trudniej przychodziło mi zostawić miejsce na coś, czego nie dało się wpisać w harmonogram.

Zamknęłam laptop i zgasiłam lampkę.

Może jutro uda mi się przekonać Klemensa, że festiwal powinien być dobrze zaplanowany, a moje granice nie podlegają negocjacjom.

Tylko dlaczego, zanim jeszcze go poznałam naprawdę, zaczęłam się zastanawiać, czy on również potrafiłby znaleźć dla mnie czas wtedy, kiedy nie byłoby żadnego wydarzenia?

Rozdział 1 - Warunki, których nie było w planie

W środę o siedemnastej trzydzieści stałam przed wejściem do domu sąsiedzkiego z notesem, laptopem i przekonaniem, że za godzinę będę już w drodze do domu. Na wszelki wypadek wpisałam sobie w kalendarzu zakończenie spotkania o osiemnastej trzydzieści. Nie lubiłam pozostawiać cudzym potrzebom pustego miejsca w swoim harmonogramie. Zbyt często okazywało się, że jeśli nie wyznaczyłam końca rozmowy, ktoś potrafił znaleźć jeszcze trzy sprawy, które koniecznie należało omówić.

Dom sąsiedzki mieścił się w parterowym budynku między apteką a sklepem spożywczym. W środku pachniało kawą, papierem i pastą do podłóg. Na tablicy ogłoszeń wisiały kartki o zajęciach dla dzieci, wymianie książek i poszukiwaniu opiekuna dla starszego psa. Ktoś zostawił na parapecie doniczkę z bazylią, która wyglądała, jakby od kilku dni czekała na bardziej odpowiedzialnego właściciela.

Pani Helena przywitała mnie w drzwiach z takim entuzjazmem, jakby właśnie udało jej się pozyskać sponsora na cały festiwal, a nie osobę, która jeszcze poprzedniego wieczoru rozważała, czy nie odwołać spotkania.

— Wiedziałam, że przyjdziesz.

— Powiedziałam, że przyjdę. Nie powiedziałam, że zostanę.

— To już coś. Chodź, mamy kawę.

Zaprowadziła mnie do większej sali. Przy długim stole siedziały trzy osoby. Rozpoznałam panią Jadwigę z biblioteki osiedlowej, młodego chłopaka w bluzie z nadrukiem

lokalnego klubu sportowego i mężczyznę, którego znałam już z widzenia, choć nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek z nim rozmawiała. Klemens Lis siedział na końcu stołu, z rękami opartymi na oparciu krzesła. Miał na sobie ciemny sweter, a włosy wyglądały tak, jakby przeczesywał je palcami zamiast grzebieniem.

Podniósł wzrok, kiedy weszłam.

— Dzień dobry, pani od papieru.

— Dzień dobry, panie od wiatru.

Pani Helena spojrzała na nas z zainteresowaniem.

— Wy się już znacie?

— Mieliśmy krótkie spotkanie na chodniku — wyjaśniłam, zajmując wolne miejsce.

— Spotkanie, które zakończyło się uratowaniem ważnej dokumentacji — dodał Klemens.

— Jednej planszy — sprostowałam.

— Nie umniejszałbym osiągnięcia.

Usiadłam naprzeciwko niego. Nie zamierzałam analizować tej wymiany zdań, choć zauważyłam, że miał skłonność do odpowiadania tak, by pozostawić rozmówcy miejsce na ripostę. Nie próbował dominować, ale też nie wycofywał się dla świętego spokoju.

Helena rozłożyła na stole kilka kartek.

— Dobrze. To może zaczniemy. Pomysł jest prosty. Chcemy zrobić festiwal sąsiedzki. Jedna sobota, najlepiej pod koniec przyszłego miesiąca. Muzyka, lokalni wystawcy, małe stoiska, może warsztaty. Coś, co sprawi, że ludzie wyjdą z domów i zobaczą, że w tej okolicy dzieje się więcej, niż im się wydaje.

— A budżet? — zapytałam.

Helena wymieniła kwotę, przy której odruchowo wyprostowałam plecy.

— To wszystko? — upewniłam się.

— Na razie tak.

— W tej kwocie nie zmieścimy profesjonalnego nagłośnienia, wynajmu wyposażenia, obsługi technicznej i wynagrodzeń dla wykonawców. Nie mówiąc o promocji.

— Dlatego chcemy wykorzystać to, co już mamy — wtrącił Klemens.

Otworzyłam notes.

— To znaczy?

— Ludzi. Miejsca. Umiejętności. Nie wszystko musi być wynajęte.

— Nie wszystko musi być wynajęte, ale wszystko musi działać. Jeśli zaprosimy muzyków, potrzebujemy warunków do występu. Jeśli zaprosimy wystawców, musimy zapewnić im przestrzeń. Jeśli organizujemy warsztaty dla dzieci, potrzebujemy odpowiedzialnych osób, materiałów i planu bezpieczeństwa.

— Zgadzam się.

Spojrzałam na niego z lekkim zaskoczeniem.

— Naprawdę?

— Tak. Tylko nie chcę, żebyśmy zaczęli od listy rzeczy, których nie możemy zrobić.

— A od czego proponujesz zacząć?

— Od tego, co możemy.

Powiedział to bez irytacji. Właściwie zaskoczył mnie tym, że nie próbował udowadniać, iż moje pytania są przesadzone. Przesunął w moją stronę kartkę z odręcznie zapisanymi nazwami kilku miejscowych punktów usługowych.

— Tu jest piekarnia, która mogłaby przygotować coś na stoisko. Tu pracownia ceramiczna. Jest też starszy pan, który robi drewniane zabawki. Nie sprzedaje ich w sklepie, ale chętnie pokaże, jak powstają. A tu mamy grupę rowerową, która organizuje przejazdy po okolicy.

Przyjrzałam się liście. Nie była długa, ale zawierała nazwiska i numery telefonów, a przy niektórych pozycjach krótkie uwagi. Nie wyglądało to na pomysł zapisany na kolanie pięć minut przed spotkaniem.

— Rozmawiałeś z nimi?

— Z częścią. Pozostali powiedzieli, że mogę zadzwonić.

— Czyli nie mamy jeszcze żadnych potwierdzeń.

— Mamy zainteresowanie.

— To nie to samo.

— Wiem. Dlatego potrzebujemy kogoś, kto potrafi zamienić zainteresowanie w konkretny plan.

Zauważyłam, że pani Helena dyskretnie uśmiechnęła się nad filiżanką. Nie byłam pewna, czy bardziej cieszy ją jego argument, czy to, że nie musiała sama wypowiadać prośby o moją pomoc.

— Zanim przejdziemy do planu, chciałabym zobaczyć miejsce — powiedziałam. — Gdzie dokładnie ma odbyć się festiwal?

Klemens rozłożył na stole mapę dzielnicy. Zaznaczył kilka punktów kolorowymi długopisami.

— Tutaj mamy plac przy domu sąsiedzkim. Jest wystarczająco dużo miejsca na stoiska. Tu można ustawić niewielką scenę, a przy tej części zostawić przestrzeń dla dzieci. Problemem jest przejazd.

— I dostęp do prądu — dodała Helena.

— I toalety — zauważyłam.

— To też.

Przez następne dwadzieścia minut rozmawialiśmy o możliwościach wykorzystania terenu. Zaczęłam rysować prosty układ wydarzenia, zaznaczając ciągi komunikacyjne i potencjalne miejsca dla wystawców. Klemens kilka razy przesunął mój długopis, wskazując rozwiązania, które pomijały lokalne przyzwyczajenia mieszkańców.

— Tutaj nie ustawiaj stoiska — powiedział, wskazując miejsce przy niskim murku.

— Dlaczego?

— W soboty rano ludzie tędy przechodzą na targ. Jeśli zastawimy przejście, będziemy mieli pretensje jeszcze przed rozpoczęciem wydarzenia.

— Możemy poprowadzić ich drugą stroną.

— Możemy. Tylko wtedy zamkniemy dojście do sklepu.

Przesunęłam plan i sprawdziłam odległości.

— Rzeczywiście. Dobrze, że o tym mówisz.

Nie skomentował, że miał rację. Po prostu wrócił do swojej kartki. To drobne zachowanie spodobało mi się bardziej, niż chciałam przyznać.

W pewnym momencie młody chłopak siedzący obok Heleny odezwał się niepewnie:

— A może zrobić też konkurs na najładniejszy rower?

Klemens odwrócił się w jego stronę.

— Możemy. Ale nie musimy wszystkiego zamieniać w konkurs. Można też zrobić miejsce, gdzie ludzie pokażą, co sami zrobili przy swoich rowerach. Bez oceniania.

— To byłoby fajne — przyznał chłopak.

— Właśnie o to mi chodzi — powiedział Klemens. — Nie chcę, żebyśmy zrobili imprezę, na którą ludzie przyjdą, obejrzą kilka rzeczy i wrócą do domu. Chciałbym, żeby mieli powód, by ze sobą porozmawiać.

— To nadal jest wydarzenie z określonym harmonogramem — zauważyłam. — Nie możemy oczekiwać, że spontaniczność sama się zorganizuje.

— Nie oczekuję. Chcę tylko, żebyśmy nie zaplanowali każdej minuty.

— Każda minuta nie musi być zaplanowana. Musimy jednak wiedzieć, co robimy, jeśli coś pójdzie nie tak.

— A ty zawsze wiesz?

— Zwykle wiem, co zrobić, kiedy coś idzie nie tak.

— To musi być męczące.

Spojrzałam na niego.

— Co?

— Ciągłe przewidywanie wszystkich możliwych problemów.

Nie odpowiedziałam od razu. Miał rację, ale nie zamierzałam mu tego ułatwiać.

— Ktoś musi to robić.

— Oczywiście. Tylko niekoniecznie jedna osoba.

W sali zapadła cisza, którą przerwała Helena, proponując kolejną kawę. Odmówiłam. Miałam już wystarczająco dużo kofeiny, a do tego coraz wyraźniej czułam, że spotkanie zmierza w stronę, której nie przewidziałam.

Kiedy wróciliśmy do konkretów, wyciągnęłam kartkę i napisałam trzy główne obszary: program, logistyka, promocja.

— Jeśli mam w tym uczestniczyć, potrzebuję jasnego podziału odpowiedzialności. Nie mogę być osobą, która ostatecznie odpowiada za wszystko, co nie zostanie zrobione.

— Zgoda — powiedział Klemens.

— I potrzebuję kontaktów do wszystkich osób, z którymi już rozmawiałeś.

— Dostaniesz.

— Chcę mieć możliwość zatwierdzania programu, zanim cokolwiek zostanie ogłoszone.

Tym razem nie odpowiedział od razu.

— Dlaczego?

— Ponieważ to ja będę odpowiadać za spójność wydarzenia. Jeśli coś zostanie obiecane mieszkańcom, musi być możliwe do zrealizowania.

— Rozumiem. Ale nie zgodzę się na zatwierdzanie każdego pomysłu przez jedną osobę.

— Nie mówię o każdym pomyśle.

— Na razie właśnie tak to brzmi.

Poczułam, że zaczynam tracić cierpliwość.

— Klemens, nie znam jeszcze wszystkich osób ani warunków. Nie mogę obiecać, że każdy będzie miał wolną rękę.

— A ja nie chcę, żeby mieszkańcy byli tylko wykonawcami twojej koncepcji.

— Nie mam zamiaru traktować ich jak wykonawców.

— W takim razie nie będziemy mieli problemu.

— Właśnie mamy.

Pani Helena odchrząknęła.

— Może to dobrze, że się różnicie. Łucja pilnuje szczegółów, Klemens zna ludzi. Potrzebujemy obu tych rzeczy.

— Potrzebujemy też kogoś, kto podejmie decyzje — powiedziałam.

— I kogoś, kto będzie pamiętał, dla kogo je podejmujemy — odpowiedział Klemens.

Nie podobało mi się, że jego zdanie zabrzmiało rozsądnie. Jeszcze mniej podobało mi się, że nie potrafiłam go łatwo podważyć.

Zamknęłam notes.

— Proponuję, żebyśmy nie rozstrzygali tego dzisiaj. Przygotuję wstępny harmonogram, zakres kosztów i propozycję podziału obowiązków. Potem zobaczymy, czy jesteśmy w stanie pracować według wspólnych zasad.

— Dobrze. Ale ja przygotuję listę ludzi i możliwości, nie tylko potwierdzeń.

— W porządku.

— I chciałbym, żebyśmy nie ogłaszali niczego bez rozmowy z nimi.

— Jeśli nie będą mieli wpływu na to, co organizujemy, trudno będzie oczekiwać, że zechcą się zaangażować — dodał.

Przez chwilę patrzyłam na niego, a potem skinęłam głową.

— Możemy zrobić spotkanie otwarte. Ale potrzebuję wcześniej podstawowych założeń.

— Uczciwie.

Wstał i zaczął zbierać kartki. Kiedy sięgnęłam po swoją torbę, zauważyłam, że położył na stole kartkę z moim nazwiskiem zapisanym obok numeru telefonu.

— Skąd masz mój numer? — zapytałam.

— Od Heleny. Poprosiłem o niego przed spotkaniem, żeby nie musieć przekazywać ci wszystkich informacji przez trzy osoby.

Spojrzałam na panią Helenę.

— Nie uprzedziłaś mnie.

— Nie pomyślałam, że to problem.

— Nie jest. Po prostu wolę wiedzieć, komu udostępniasz moje dane.

Klemens natychmiast odsunął kartkę w moją stronę.

— Jeśli wolisz, nie będę pisał ani dzwonił. Możemy ustalić komunikację przez Helenę.

Nie brzmiał urażony. Nie próbował mnie przekonywać, że przesadzam. Czekał na odpowiedź, jakby rzeczywiście była moja.

— Możesz napisać w sprawie organizacji — powiedziałam. — Tylko trzymajmy się konkretów.

— Postaram się nie wysyłać wiadomości o pogodzie.

— To byłoby bardzo pomocne.

Uśmiechnął się, a ja przez chwilę miałam wrażenie, że znowu rozmawiamy nie o festiwalu, tylko o czymś, czego nie potrafiłam jeszcze nazwać.

Na zewnątrz było już chłodniej. Schowałam laptop do torby i ruszyłam w stronę przystanku. Klemens wyszedł chwilę po mnie, ale zatrzymał się przy swoim rowerze opartym o ogrodzenie.

— Łucja?

Odwróciłam się.

— Tak?

— Nie musisz brać tego na siebie, jeśli nie chcesz. Naprawdę.

— Wiem.

— Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że nie oczekuję, że zrobisz za nas wszystkich całą robotę.

Przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Byłam przyzwyczajona do próśb, które zaczynały się od zapewnienia, że to tylko drobiazg, a kończyły kolejnymi godzinami pracy. Jego słowa nie brzmiały jak próba zdobycia mojej zgody. Raczej jak informacja, którą uważał za ważną.

— Zobaczymy, jak pójdzie — powiedziałam.

— Zobaczymy.

Ruszyłam dalej. Dopiero na przystanku zauważyłam, że w notesie, obok pierwszych założeń budżetowych, zapisałam również jedno zdanie, którego nie pamiętałam z własnej inicjatywy.

Nie planować wszystkiego za wszystkich.

Nie byłam pewna, czy była to jego myśl, czy moja reakcja na nią. W obu przypadkach zamierzałam sprawdzić, czy da się ją zastosować bez utraty kontroli nad wydarzeniem.

A przede wszystkim bez utraty mojego wtorku.

Rozdział 2 - Mapa rzeczy możliwych

Następnego dnia o dziewiątej rano miałam już otwarty arkusz kalkulacyjny, dwa projekty układu przestrzeni i listę potencjalnych kosztów. Przez pierwsze pół godziny wszystko szło zgodnie z planem. Dopiero kiedy dotarłam do rubryki dotyczącej wykonawców, zorientowałam się, że nie wiem, ilu właściwie ich potrzebujemy. Nie miałam też pewności, czy festiwal powinien mieć jedną główną scenę, czy kilka mniejszych punktów aktywności.

Zwykle takie decyzje podejmowałam po rozmowach z klientem. Tym razem klientem była grupa mieszkańców, których jeszcze nie znałam, oraz mężczyzna, który najwyraźniej uważał, że nie wszystko należy rozstrzygać przy stole.

O dziesiątej dwadzieścia przyszła wiadomość.

Klemens: Mam listę osób i kilka propozycji. Czy możemy spotkać się na miejscu i przejść po terenie? Łatwiej będzie pokazać, o co mi chodzi.

Spojrzałam na zegar. Miałam zaplanowaną rozmowę telefoniczną o jedenastej, a potem pracę nad wystawą. Mogłam znaleźć czas na godzinę, jeśli nie zamieni się ona w pół dnia.

Odpisałam:

Ja: Dzisiaj o 12.30. Mam maksymalnie godzinę.

Odpowiedź przyszła niemal od razu.

Klemens: Wystarczy. Będę czekał przy domu sąsiedzkim.

Nie dodał żadnego żartu. Nie zapytał, czy mogę wcześniej. Uznałam to za dobry początek.

O dwunastej dwadzieścia osiem byłam na miejscu. Klemens stał przy ogrodzeniu, rozmawiając przez telefon. Kiedy mnie zauważył, zakończył rozmowę i schował urządzenie do kieszeni.

— Punktualna — zauważył.

— To jedna z moich niewielu zalet.

— W takim razie dobrze, że zdążyłem.

Miał na sobie granatową kurtkę i jasny szalik. Przy jego nodze stała skrzynka z narzędziami, a na ramieniu wisiała płócienna torba. Nie wyglądał jak człowiek, który przyszedł na spacer. Raczej jak ktoś, kto zamierzał coś naprawić, zanim zdążyłam zapytać, co jest zepsute.

— Zaczynamy od placu? — zapytałam.

— Od strony warsztatu. Chciałbym ci coś pokazać.

Ruszyliśmy wzdłuż ulicy. Po kilku minutach dotarliśmy do miejsca, gdzie chodnik rozszerzał się przy niewielkim skwerze. Stały tam dwie ławki, kosz na śmieci i stojak rowerowy. Klemens wskazał na wolną przestrzeń między drzewami.

— Tu mogłaby być pierwsza część wydarzenia. Nie scena, tylko miejsce spotkań.

— Co konkretnie?

— Stół, kilka krzeseł, może punkt wymiany rzeczy. Książki, rośliny, drobne przedmioty. Ludzie przynoszą coś, czego już nie potrzebują, i zabierają coś innego.

— To wymaga organizacji. Musimy ustalić zasady przyjmowania rzeczy i odpowiedzialność za pozostawione przedmioty.

— Wiem.

— Potrzebujemy też kogoś do pilnowania stoiska.

— Znam dwie osoby, które chętnie się tym zajmą.

— Potwierdzone?

— Jedna tak. Druga jeszcze nie.

Zapisałam to w notesie.

— A co z muzyką?

— Myślałem o dwóch niewielkich występach. Jeden lokalny zespół, jedna osoba grająca na gitarze. Bez dużej sceny.

— Wtedy potrzebujemy nagłośnienia.

— Mam znajomego, który może pożyczyć sprzęt.

— A jeśli nie będzie mógł?

— Wtedy znajdziemy inne rozwiązanie albo zmienimy program.

— Wolałabym nie zmieniać programu w ostatniej chwili.

— Ja też. Tylko nie możemy planować wydarzenia tak, jakbyśmy mieli budżet na każdą ewentualność.

Zatrzymałam się przy ławce.

— Klemens, rozumiem, że chcesz zrobić coś dostępnego dla ludzi. Ja też. Ale jeśli mamy przygotować wydarzenie, musimy mieć wariant podstawowy i awaryjny. Inaczej nie będziemy wiedzieli, co właściwie obiecujemy.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Dobrze. Zróbmy tak.

Nie spodziewałam się, że zgodzi się tak szybko. Przygotowałam już w głowie argumentację, którą najwyraźniej nie będę musiała wykorzystać.

— Masz jakieś doświadczenie w organizowaniu takich wydarzeń? — zapytałam.

— Nie w takim sensie jak ty. Organizowałem kilka przejazdów rowerowych i małych spotkań w warsztacie. Czasami przychodziło dziesięć osób, czasami czterdzieści. Nie było scenariusza na każdą minutę.

— I jak sobie radziłeś?

— Pytałem ludzi, czego potrzebują. Potem sprawdzałem, czy jesteśmy w stanie to zrobić.

— To nie jest metoda, którą można zastosować do wszystkiego.

— Wiem. Dlatego rozmawiam z tobą.

Powiedział to spokojnie, bez cienia pochlebstwa. W jego ustach zabrzmiało to jak uznanie konkretnej umiejętności, a nie próba zdobycia mojej sympatii.

Przeszliśmy na drugą stronę skweru. Klemens pokazał mi niewielki lokal, którego właścicielka prowadziła pracownię ceramiczną. Przez szybę widziałam półki z kubkami i małymi miskami. Na drzwiach wisiała kartka z informacją o warsztatach dla dorosłych.

— Pani Marta powiedziała, że mogłaby przygotować krótkie zajęcia dla dzieci — wyjaśnił. — Nie potrzebuje dużo miejsca. Wystarczyłby stół i dostęp do wody.

— To ciekawa propozycja. Ale musimy sprawdzić, czy zajęcia będą odpowiednie dla różnych grup wiekowych.

— Zostawię ci jej numer.

— Dziękuję.

— Ona jest bardzo konkretna. Jeśli coś jej nie odpowiada, powie od razu.